NR. 14 NIEDZIELA, 20 LIPCA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



NA WAKACJACH

Słońce, powietrze i woda dają radość.



List Janka do mamy z kolonji letnich

Kochana Mamo!
Jak mi tu miło!

Tylko brak Ciebie i tęsknię za szkołą.
Pan bardzo dobry: kocha nas jak tato.
Ty nie wiesz Mamo, jakie śliczne lato,
Gdy słonko świeci i chłopcy nagusy
Jak trwożne żabki dają w wodę susy.

Jedzenie dobre: kompot, czekoladki...
Jakie na łące, Mamo, śliczne kwiatki!
Często zbieramy jagody po lesie,
A Stacho Badzik na czub drzewa pnie się.

Czy nasza Zosia już zupełnie zdrowa?
Na tem zakończę mego listu słowa,
Bo Pan mię woła na wieczorne piosnki.

Ściskam się, Mamo
Janek Stypułkowski.

Bohaterowie pracy

Wiosenny, ciepły deszcz uderzał lekko w szyby okienne, za któremi siedział oparty na parapecie dziesięcioletni Zygmuś.

Poprzedniego wieczoru chłopiec czuł się niedobrze, trochę bolało go gardło i ciężyła głowa, więc ojciec nie pozwolił mu iść do szkoły, lecz kazał pozostać w domu i dłużej poleżeć w łóżku.

Smutno jest jednak być samemu w domu, gdy rodzice są w zajęciu i nie jest się zbyt chorym.

Siedzi więc Zygmuś w oknie i z za szyby patrzy na przeciwległą stronę ulicy, gdzie buduje się duży dom. Jest na co patrzeć: Po rusztowaniach snują się dziesiątki robotników, każdy coś robi, jeden pomaga drugiemu, poruszają się, krzątają i stanowią razem jakby jeden olbrzymi łańcuch pracy, którego są doskonale dopasowanemi ogniwami.

Przygląda się Zygmuś pracy robotników, podziwia ich sprawność i nagle straszne przerażenie maluje się na jego twarzy. Oto jeden z robotników, niosąc na trzecie piętro duży szafel z cementem, pośliznął się widocznie na mokrych deskach rusztowania, gdyż zachwiał się, stracił równowagę i runął na dół...

Zygmuś przymknął oczy, a gdy znów je otworzył ukradkiem, ujrzał na kamieniach obok głowy leżącego duże krwawe plamy. Chłopiec, nie mogąc znieść tego widoku, zakrył twarz rękami, a słowa zamarły mu na ustach.

Wtem poczuł czyjąś rękę na swem ramieniu. Wzdrygnął się, odwrócił główkę i ujrzał przed sobą swego ojca.

— Ty tu, ojczulku, o tej porze? — zapytał zdziwiony chłopiec.

— Wróciłem do domu po pewne notatki, które mi są potrzebne. Jak twoje gadło? Jakoś dziwnie blady jesteś i mizerny!

— Ojcze! tam z tego budującego się domu spadł człowiek na bruk... — szeptał chłopiec. — Leciał tak prędko, a potem głowa mocno uderzyła o kamienie i... — tu Zygmuś zalał się łzami.

Ojciec wyjrzał na ulicę, gdzie stała gromadka ludzi z odkrytemi głowami. Potem zwrócił się od chłopca i dziwnie zmienionym, poważnym głosem rzekł:

— Byłeś, chłopcze, świadkiem śmierci jednego z bohaterów pracy, który poległ na swem stanowisku.

Zygmuś pytający wzrok utkwił w twarzy ojca i, nie rozumiejąc słów jego, cichym głosem zapytał:

— Bohatera pracy?

— Tak jest, dziecko, nie przesłyszałeś się. Widzisz od wieków ludzie przywykli uważać za bohaterów jedynie tych, którzy odznaczyli się, lub polegli na polach walki w obronie jakichś interesów swej ojczyzny. Dla żywych współcześni mieli ordery, honory i nagrody, zmarłych czczono wspaniałemi pogrzebami, a pamięć o nich przekazywano potomności. Teraz dopiero lepsza część ludzkości zrozumiała i odczuła, że bohaterami są również całe legjony bezimiennych pracowników, którzy często z narażeniem życia własnego pracują dla dobra wszystkich ludzi, żyjących na świecie.

— A to oni są, tatusiu?

— Nie trzeba szukać ich daleko. Spotykasz ich codziennie rano spieszących do fabryk, pracowni, biur i szkół i gdziekolwiek zwrócisz swe myśli, wszędzie, na każ-

dym kroku znajdziesz tysiące przykładów. Wyobraź sobie choćby górnika, który dnie całe pracuje pod ziemią, nie widzi słońca, nie oddycha świeżem powietrzem, ciągle naraża swe życie byśmy mieli opał, by mogły jeździć koleje żelazne i statki, by pracowały fabryki.

Zygmuś z pochyloną główką słuchał słów ojca, który ciągnął dalej.

— Nie sposób bym wyliczył ci wszystkie rodzaje ciężkiej, niebezpiecznej pracy, którą wykonywują liczni pracownicy, pamiętaj tylko przez całe życie, że szanować należy wszelką pracę ludzką, skierowaną dla dobra ogółu. A gdy przypadek, jak dziś, pozwoli ci zobaczyć ofiarę pracy, odkryj przed nią głowę z takim samym głębokim szacunkiem, jaki winniśmy bohaterom. Zrozumiałeś mnie, Zygmusiu?

Chłopiec przytulił głowę do piersi ojca i mówił cichutko:

— Och, tak, tatusiu! Teraz wiem, że każdy najdrobniejszy przedmiot zawiera w sobie pracę ludzką i że szanować trzeba najskromniejszego pracownika, skoro jest pożyteczny dla bliźnich.

M.



Z CYKLU „Z DZIEJÓW PRACY"

Strejk w Fongeres*)

Podług Alberta Thomasa przełożyła Irena Szulcowa.

Piotruś ukończył jedenaście lat w październiku. Był on najstarszym synem Jana Durieu, robotnika szewckiego, który pracował w fabryce jednego z większych przedsiębiorstw w Fongeres. Piotruś był to poważny mały człowiek: matka mogła spokojnie zostawiać trzy młode dziewczynki pod jego opieką; czuwał nad niemi troskliwie. Zaczynał już rozumieć wiel spraw życia codziennego. Wiedział, że rodzinie jego nie powodziło się, nieraz słyszał, jak matka rachowała ile kosztuje żywność, ile jeszcze potrzeba będzie na komorne, na ubranie dla dzieci, na obuwie i odczuwał niepokój rodziców. Chciałby już zacząć pracować, chciałby też chodzić do fabryki. „Kiedy skończysz szkołę — odpowiedział ojciec na jego prośby. — Wiesz, że teraz po południu po szkole jesteś potrzebny matce w domu". Piotruś słyszał dużo rozmów o fabryce, o płacach robotniczych i o związkach zawodowych. Zapytał co to jest związek zawodowy, — ojciec wytłomaczył mu, że jest to zjednoczenie robotników pewnego zawodu w celu wzajemnej pomocy, wspólnych starań dla zdobycia w tym zawodzie lepszych warunków pracy, t. j. lepszej płacy za mniejszą ilość godzin pracy i t. p.

Piotruś wiedział, że jego ojciec należy do związku, że był przez towarzyszy wysłany dla rozmówienia się z fabrykantami,

*) miasto w północnej Francji.

którzy nie chcieli się zgodzić dać robotnikom takiej płacy jakiej ci żądali. Co więcej zjednoczeni fabrykanci zagrozili robotnikom, że fabryki zostaną zamknięte..

Piotruś nie wszystko dobrze rozumiał, ale czuł, że ojciec jest zmartwiony i zakłopotany. Wieczorem 6-go listopada — ojciec oznajmił:

— No, teraz strajk jest postanowiony!

— Co się z nami stanie, zawołała matka — ze łzami w oczach. Zima nadchodzi, nie mamy żadnych zapasów. Jak przeżyjemy, co będzie z dziećmi? — I tak ledwie dawaliśmy sobie radę, kiedy miałeś robotę. Co będzie teraz?

— Wiem dobrze o tem — rzekł ojciec ale rozumiem, że tak dłużej trwać nie mogło. Z roku na rok, zarobki się obniżały.

Dają nam w różnych fabrykach różne płace, abyśmy nie wystąpili razem. A jeśli zgodnie nie będziemy stać przy swoich żądaniach, to marne zarobki doprowadzą nas wkrótce do najgorszej nędzy.

Biedna kobieta smutnie potrząsnęła głową; wiedziała że mąż ma rację. Miała do niego najzupełniejsze zaufanie. Ale jak będą żyli?

— Odwagi, moja droga — rzekł ojciec raźniej. Robotnicy dzisiejsi idą ławą. Członkowie związku pomagają sobie; związki też wspierają się wzajemnie, jeśli tego potrzeba. Pomogą nam inne związki. I jakoś przeżyjemy ten ciężki okres,

— Tak — odpowiedziała matka, — wszyscy powinni sobie pomagać wzajemnie. Nazajutrz rozpoczęło się nowe życie. Piotruś poszedł do szkoły, ale miał wielką ochotę pozostać razem z małą siostrzyczką, bo tato był w domu, jak w niedzielę. A jaki był ożywiony. Nie był taki ponury, jak wtedy, kiedy wracał zmordowany po całodziennej ciężkiej pracy. Często chodził na zebrania a matka towarzyszyła mu czasem. Zaczęła i ona nabierać ufności. Z Paryża przyjeżdżali towarzysze deputowani do parlamentu (posłowie w Sejmie) opowiadali jaką biedę cierpieli inni robotnicy w różnych krańcach Francji, a przecież w końcu zwyciężyli.

Sklepikarze nie byli zrazu tak nieżyczliwie usposobieni jak się tego spodziewano. Z początku dawali na kredyt. Wszystkie stowarzyszenia robotnicze nadsyłały zasiłki.

— Będziemy mogli się trzymać mówił ojciec.

Dzień w dzień odbywały się manifestacje. Strajkujący przeciągali ulicami miasta, śpiewając „Międzynarodówkę". Słychać ich było ze szkoły i wszystkie prawie dzieci umiały już te pieśni.

Najwięcej podobały się Piotrusiowi tak zwane zupy komunalne. Pod wielką szopą robotnicy ustawili kotły; przynoszono zewsząd talerze, miski i różne kuchenne przybory; nazbierali sami drew w sąsiednim lesie, włościanie okoliczni dostarczyli warzywa — zabrano się do warzenia strawy. I szewcy okazali się doskonałymi kucharzami. Od 10 do 11½ i od 5 — 6 wieczorem potrafili wydać 4200 porcji zupy. Mężczyźni i kobiety mieli prawo każdy do jednej porcji, dzieci dostawały pół porcji. Cóż to za uciecha była dla Piotrusia, kiedy się znalazł wraz z matką wśród gwarnego tłumu i kiedy widział szewców, przyjaciół ojca, których znał dobrze, przemienionych obecnie w kucharzy.

Ale niestety, dwie porcje zupy na dzień

nie mogły wystarczyć. A tymczasem tygodnie mijały, fabrykanci nie chcieli ustąpić, sklepikarze, zaniepokojeni, zaczęli się niecierpliwić, stawali się nieustępliwi, wymuszający.

— Gdybyśmy to tylko my starzy musieli cierpieć, szeptał ojciec.

— Ale dzieci! nie to nie jest sprawiedliwie.

Kilka razy wieczorem Piotruś dostrzegł, że matka płakała.

Matka była dzielną kobietą; z każdym dniem ogarniała ją większa zaciętość. Na zebraniach była zawsze między temi, które oklaskiwały mówców, wzywających do wytrwania, ale kiedy wracała do domu i gdy najmłodsza pieszczoszka po wypiciu swego kubeczka mleka wołała o jedzenie, biedna kobieta czuła, że ją opuszcza odwaga.

Tymczasem walka trwała i nie widać było końca. Pewnego zimowego wieczoru, kiedy dzieci po niedostatecznym posiłku szczękały zębami w nieopalonej izbie, ojciec wrócił z miasta z nowiną.

— Wiesz — rzekł do żony — robotnicy z Rennes i Paryża wezmą nasze dzieci do siebie.

— Jakto? — zapytała

— A no tak! Już Belgijczycy wypraktykowali ten sposób. Jeśli strajk trwa długo i dzieci na tem cierpią, ci, którzy chcą przyjść z pomocą strajkującym, zabierają ich dzieci do siebie na cały czas trwania strajku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ludzie i zwierzęta

Rodzice Lesia stracili kilkoro dzieci, więc ostatniego jedynaczka kochali bezgranicznie i strasznie psuli.

To też Leś korzystał ze słabości swych rodziców, a kaprysy jego i wymagania były coraz większe i trudniejsze do wykonania.

Pewnej niedzieli pojechał Leś z rodzicami do wujka, mieszkającego na wsi. Chłopiec przez dzień cały biegał po podwórzu i ogrodzie i bawił się z dwoma psami. Tak bardzo podobało mu się ich towarzystwo, że na posiłki trudno go było sprowadzić do mieszkania i z ogromnym żalem opuścił dom wujostwa.

Nazajutrz rano, gdy mamusia, jak zwykle, zbliżyła się do łóżeczka, by pomóc ubrać się jedynaczkowi, Leś nie pozwolił się dotknąć, lecz wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki, wierzgał nogami, wymachiwał rękami i raz w raz wyciągał na bródkę język.

W powrotnej drodze do domu chłopiec mówił tylko o pieskach i wyrażał życzenie posiadania swego własnego zwierzątka.

Zdumiona zachowaniem się jedynaka mama przemawiała do niego łagodnemi słowami, lecz nie odnosiło to żadnego skutku.

— Co ci jest? Co ci się stało? — dopytywała się stroskana.

Leś groźnie spojrzał na mamę i grubym głosem oznajmił:

— Nie jestem Lesiem, nie chcę być chłopcem; jestem teraz psem, nazywam się Filuś i do przedszkola nie pójdę!

Po tych słowach rozpoczęła się znów przerwana komedja. Leś naciągnął na siebie tylko spodnie majteczki, na czworakach wysunął się z łóżka i w dalszym ciągu naśladował czworonoga.

Mama bezradnie patrzyła jak Leś wylał kakao na spodeczek i zaczął pić je językiem, zalewając przytem stół i podłogę.

Kapryśny chłopiec od czasu do czasu spoglądał na matkę i, zadowolony z wrażenia, jakie wywarło jego zachowanie, poszczekiwał, pomrukiwał i ani na chwilę nie wychodził ze swej roli psa Filusia.

Koło południa przyszła ciocia Zosia, siostra mamy Lesia.

Zobaczywszy siostrzeńca w bieliźnie, czołgającego się po podłodze, krzyknęła:

— Co ja widzę? Leś jeszcze nie ubrany o tej godzinie?

— Właśnie chciałam ci powiedzieć, moja Zosiu, — odezwała się mama — że nie mamy już synka Lesia, lecz pieska Filusia.

Na potwierdzenie jej słów Leś wskoczył na kanapę i przeraźliwie zawył.

— Teraz rozumiem! Dziwię się tylko, że pozwalasz psu wylegiwać się na kanapie i niszczyć meble. Trzeba przyzwyczaić go do tego, by leżał w przedpokoju na swej poduszce. Bardzo żałuję, że niema Lesia, gdyż właśnie przyniosłam mu coś, co bardzo lubi.

Słysząc te słowa Leś stanął na dwuch nóżkach i oparł się o kolana cioci.

Ciocia odsunęła go lekko i rzekła:

— Odejdź, piesku, na swe posłanie i nie brudź mi łapkami sukni.

Teraz Leś sam nie wiedział czy lepiej być psem, czy chłopcem, więc zasiadł w kąciku za kanapą i obserwował ciocię i mamę.!

Po chwili mama nakryła do drugiego śniadania, ale tylko na dwie osoby. Gdy ciocia i mama zabrały się do jedzenia, Leś wyszedł ze swego kąta, siadł na krześle i ludzkim głosem zawołał:

— Ja też chcę jeść śniadanie!

— Ach, więc znalazł się Leś! — rzekła, udając zdziwienie ciocia. Ale jaki brudny, rozczochrany, nieubrany! Jak możesz zasiadać do stołu w podobnym stanie? Co z trudem uchodziło pieskowi Filusiowi, to zupełnie nie pasuje chłopczykowi Lesiowi.

— Ja tylko tak nażarty, dla zabawy — mruczał zawstydzony Leś.

— Moje dziecko, rozumiem, że czasem można bawić się w udawanie jakiegoś zwierzęcia, ale ty dziś, biorąc na siebie przywileje i właściwości czworonoga, tem samem straciłeś prawa ludzkie. Nie myłeś się dziś, nie czesałeś, a przecież porządek koło siebie robią wszystkie zwierzęta. Dalej nie chciałeś iść do przedszkola, słowem nie zrobiłeś nic z tego, co obowiązuje każde dziecko. Jeżeli zaś wolisz być



zwierzęciem, to musisz zachować się odpowiednio. A więc nie rozsiadać się na meblach, nie naprzykszać się ludziom. Jeść z miseczki, gdzie każą, spać na swem posłaniu i spełniać wolę tego, który cię żywi.

— To ja już więcej nie będę Filusiem... — zapewniał bliski płaczu chłopiec.

— Bardzo słusznie, gdyż każde żyjąca istota ma swe prawa i swe obowiązki, które spełniać musi, ludzie zaś, posiadając rozum i mowę mają wielką przewagę nad zwierzętami i winni im są zawsze życzliwość i opiekę. A teraz, Lesiu, rozchmurz twarzyczkę, umyj się i ubierz i przyjdź do mnie po twój przysmak.

To mówiąc dobra ciocia położyła na stole dużą złotą pomarańcz.

—n—



Kącik śmiechu.

Lutek pierwszy raz zobaczył statek parowy na Wiśle i pyta swego ojca:

— Tatusiu, czy w Warszawie lokomotywy też się kąpią?

———

— Dlaczego grzyby podobne są do parasoli? — zapytała mała Zosia trochę starszego braciszka.

— Bo rosną w miejscach, gdzie deszcz pada — odparł bez namysłu zapytany

———

— Czy zmieniłaś, Marysiu, wodę rybkom w akwarjum — zapytała pani młodej

— Ech, proszę pani, szkoda na to czasu, czyż kto zmienia rybom wodę w rzece!

Adres redakcji i administracji: Robotnicze Tow. Przyjaciół Dzieci

Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20 Tel. 274-55.

Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i czwartki 5 — 7.